ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela, 11 marca 1934 r. **Nr. 11**

Adolf Nowaczyński

Collega sempre vivo

JEDEN JEDYNY

Jedenastego marca „Korjolan“ wraca spowrotem na repertuar Komedji Francuskiej.

W Barcelonie, w Bernie, w kilku miastach angielskich: „Juljusz Cezar“ tegoż autora. W Warszawie „Kupiec Wenecki“. Tu i ówdzie „Sen Nocy Letniej“, „Hamlet“, „Król Lir“, tam znowu „Wesołe kumoszki z Windsoru“, „Miarka za Miarkę“. Jednem słowem znów wszedł w repertuary i już nie schodzi z repertuarów. Nowa olbrzymia fala dosłownej autentycznej nie frazeologicznej a tualności. Jeden Jedyny Wiec nie Nieśmiertelny. I w Sowietach teraz go grają i w Japonji teraz go grają. Nietylko go grają, ale się kłócą o niego tak jak się kłócili, wrzeszczeli i tłukli ze sobą, kiedy wychodzili trzysta trzydzieści lat temu z „Globu“ i tuż pod teatrem przedewszystkiem gremialnie zanieczyszczali ulicę.

Inni są nieśmiertelni tytularnie, fikcyjnie, oficjalnie, urzędowo, w książkach, szkołach, na uniwersytetach, w „przyczynkach“, w cytatach. Czy to Homer czy Dante, czy Goethe, czy Milton, czy Wolter, lub V. Hugo. Dorosły inteligent aktywny niema czasu wziąć do ręki ani Boskiej, ani Nieboskiej. Ten Jeden Jedyny wiecznie żywy, wiecznie świeży, wiecznie konkurent niebezpieczny, zawsze zwycięski. Kilka dzieł wraca co dziesięć lat punktualnie to tuż przed wojną, to przed rewolucją, to po wojnie, to po rewolucji i Hamlet, ...Szajn-lock, Cezar, Korjolan. I za każdem wznowieniem na każdym punkcie kuli ziemskiej zaraz dysputy i dyskusja, i często gęsto awantury także.

CEZAR I KORJOLAN

Grozi w jakiejś republice monarchizm, absolutyzm, faszyzm, wraz pospiesza na afisz „Juljusz Cezar“. Znudzili się judemokracją, parlamendaryzmem, partyjnictwem, dalejże z „Korjolanem“. Ci tych tamci owych walą po łbach autorytetem olbrzymiego nazwiska, „które dla W. Brytanji warte jest tyle co Indje“. Na „Cezarze“ oklaskują wszyscy tyrady antytyrańskie, na „Korjolanie“ walą brawo przy ustępach, gdzie Elżbietański Endek z krwi i kości, najtypowszy Endek w każdym calu sponiewierał motłoch radykanalski, wolnomyślicielęcy, pyskujący po sejmach i radach miejskich przeciw mądremu Führerowi, przeciw Il Duce, przeciw Dożom i A.-Ntoniom.

Kiedy dwa miesiące temu dziś usunięty dyrektor Domu Moljera wprowadził na repertuar „Korjolana“, już na dziesiątym spektaklu zaczęły się wielkie widowiska i w publice. Demonstracyjnie oklaskiwano każde zdanie przeciw dzisiejszej kanalji masońskiej skierowane, skierować się dające. Każde zdanie „Korjolana“ padało ołowiem na łby tych ludzkich wieprzów, świń, wilków, lisów, hien, szakali, które i gdzieindziej... po pierwszych rzędach i po łożach Teatru M u n d i.

AUCH EIN GUTER GESCHAEFT

We Francji się kończą, u nas są w pełni rozkwitu. Toteż u nas nie jest dziś aktualne wznawianie ni „Cezara“ ni „Korjolana“. Natomiast dobrze się stało, że przyszedł „Kupiec Wenecki“. „A n t i s e m i t i s m u s i s t a u c h e i n g u t e r G e s c h ä f t n u r w e n n e s i n d i e H ä n d e t u c h t i g e J u d e n n e h m e n“. ..Rosenkrantz und Guldenstern p a r e x e m p l e. Mogą spokojnie wtedy siedzieć w loży (Guldenstern i Rosenkrantz) i patrzeć z zadowoleniem jak na widowni walą brawa korporanci i obwiepolki. W stolicy Judosławji, w Moszkopolis już t y m to nic nie zaszkodzi i t a m t y m nic nie pomoże. Raczej lekcja moralności dla lichwiarzy i paserów, aby się hamowali w zapędach i nie żądali zaraz aż wycięcia kawału żywego mięsa spod serca... i wogóle niech będą ostrożni w enuncjacjach i ekspektoracjach, niech będą dyskretniejsi i wstrzemięźliwsi, nie gadają za dużo, nie żądają za dużo, a wtedy jakoś to tam będzie i za lat pięć... dziesięć najwyżej Wenecja będzie nasza, będziemy Normandami tych istotnie potwornie niezdarnych, niezaradnych, bezkrwistych, bezmózgich, podgłupiastych wzajem siebie w pień wyrzynających tępaków i pętaków... autochtonów.

CO TO JEST SHYLOCK

Co to jest Shylock? Szajn-lock? Czy to jest tylko lichwiarz wenecki, odbicie literackie doktora Lopeza, przekupionego przez dyplomację hiszpańską dla powolnego zatrucia królowej Elżbiety, poczem „ściętego na stosie?“ Nie, Shylock to jest Wall-Street i 600 banków nowojorskich, które za gardło złapał Roosevelt i dusi; z pomocą Morgenthaua dusi, bo bez niego Antonjo Roosevelt nie dałby sobie rady. Shylock to jest „New Jork Times“ i równocześnie tysiąc hersztów komunistycznych w Stanach Zjednoczonych. W Londynie dzisiejszym Shylock to jest City, trzydziestu lordów semitów, „Manchester“, Maxton, Cripps, Citron, Sassooni, Mondy, Montefiory, Cassele.

Shylock paryski, który zwyciężył, zbezcześcił i skopał Mariannę, to jest Stawiski plus Blum plus Mandel, Monzie plus tysiąc eskroków dziennikarskich, to są Dreyfussy, Citroeny, Blochy, Loevy, Coheny.

Rzym pierwszy, Berlin drugi schwytały Shylocka za gardło i już w momencie, kiedy miał nożem wykrawać ciało spod serca przygniotły go do ściany i sknokautowały.

Co znaczy alegorja, pozornie bezsensowna alegorja z wycięciem żywego mięsa spod serca? W normalnych czasach: handel ludźmi, przekupywanie ludzi, handel ż y w e m mięsem. W anormalnych: rewolucje, wyrzynanie szlachty, „kupców królewskich“, mieszczaństwa, katolików, chrześcijan, a obejmowanie po nich władzy i rządów.

CZEM JEST ANTONIO?

Czem jest Antonjo? A. N. Tonjo? W imaginacji Szekspira wenecki kupiec. I londyński kupiec. I John Bull wogóle i John Burżuj. Każdy patrjota swej ojczyzny i chłop i kułak i farmer i rzemieślnik i robotnik zasiedziały, wrosły, wkorzeniony. Antonjo to lat temu dwadzieścia tylko H. Belloc i G. K. Chesterton a teraz już i wróg judemokracji Wells i entuzjasta Hitlera G. B. Shaw. Antonjo to siedem faszystowskich korporacyj angielskich, walczących o prymat. Antonio, to k o s z u l e, s h i r t s, c a m i s s e we wszystkich kolorach tęczy, we w s z y s t k i c h krajach globu ziemskiego, zrewoltowanych przeciw anonimowemu imperjalizmowi U e b e r - u n t e r - m e n s c h e n t u m (jednego procentu ludności) Antonjo, to kombatanci paryscy „C r o i x d e F e u“ i rojaliści i j e u n e s e p a t r i o t i q u e i ci wszyscy, co shylockrację paryską doprowadzą do porządku... malucz ko a zbiwszy jej krwawo mordę obleśną... maluczko a wywiesiwczy co demokratyczniejszych łajdaków na gałęziach kasztanów paryskich parków. Antonjo to Japonja. Antonjo, to budząca się Hiszpanja. Antonjo to przyszła Ukraina. Antonjo to może kiedyś zjednoczone stany europejskie po zgnieceniu shylockracji złotej i shylockracji krasnej, krwawej, czerwonej, po międzynarodowem potężnem przetrzepaniu po łapach megalomanów z Judei i ze Samarji.

TRZEJ PROFESORZY

Z uczonych w piśmie interpretowali nam trzej cud (miracel) nieśmiertelności „Kupca Weneckiego“: prof. Tarnawski, prof. Dybowski prof. Zieliński, wszyscy trzej Arjowie d i p r i m o c a r t e l l o. Na żadne więc szacherki, djalektyczne sofisterje, kruczki, szwindle nie ma już ani miejsca ani czasu. Rzecz jasna i prosta. Próbowali zamydlić i pokręcić aktorzy (Irving, Basserman, Possart) i semickie literatniki (Heine, Boerne, Brandes, Dessauer, Bley i Kerr - Kempner). I w miastach i miasteczkach, gdzie supremacja shylockracji zdecydowana (Manchester, Kraków, dawny Berlin, Wiedeń, Łódź) aktorzy — kullisenreissery grały „na litość“, „na współczucie“, na „humanitaryzm“.

Wtedy to niby i wilk był syty i koza cała i zadowolona. „Czemu go tak męczą?“ — skarżyła się jakaś sentymentalna nimfomanka angielska któremuś krytykowi po rykach kulissenreissera może Irvinga, który wiedząc, że na premierze może będzie premjer Disraeli i dwudziestu bankierów z City, dodał całą scenkę „litościwą“, o której się ani Szekspirowi, ani filozofom nie śniło.

Scenka ta, jako ewentualny odczynnik została na stałe i w egzemplarzach teatralnych dla Judosłowian. Olśniewał w niej ongiś nieboszczyk Rapacki, potem Rygier, do dziś dnia przetrwała i przetrwa jeszcze lat kilka...

JESSYKA KRZYWICKA (NÉE CHATTERLEY).

Dzięki tej scence i dodanemu karnawałowi (Reinhardtoskiemu), rzekomo rozhukanych, rozbawionych, rozwrzeszczanych, wesołych (zaczem i zapewne b o g a t y c h?) Arjów weneckich sztuczka okazała się łatwiejszą do przełknięcia i do strawienia P. T. Publiki ku zadowoleniu Rosenkrantza i Guldensterna. Dzięki temu Irvingoskiemu, a raczej ivrejskiemu wtrętowi mogła sobie w recenzji polskiego dziennika napisać i Jessyka Krzywicka (neé Chatterley):

„Ten stary, dyszący zemstą obłąkaniec wydaje się nam dość nieszkodliwy w porównaniu ze światem chrześcijan, w który niebacznie się wplątał. Zabrano mu córkę i oszukańczym sądem pozbawiono majątku, opluto go wzgardą i skazano na straszliwy dla tego brodacza chrzest. Ci barwni kawalerowie i piękne damy mieli twarde ręce i niemałą skłonność do sadyzmu“.

I również dzięki pewnym fintom i fortelom ex - goldmanowskim (właściwe nazwisko Reinhardta: Goldman) mógł p. Rumelt w Tygodniku „Opinja“ wygłosić taki monolog dosłownie tu przytoczony:

„Obrona Shylocka, genjalnie przez Szekspira ułożona, jest zarazem najśmielszem j'accuse, rzuconem w twarz wszystkim antysemitom, w czasie i przestrzeni złączonym jedną wielką współwiną... Oskarża Szekspir uprzywilejowanych i panujących, że przez zepchnięcie żydów na stanowiska drugorzędnych obywateli, parjasów, rzuconych poza nawias wolnego społeczeństwa, zmusili ich do uprawiania marnego procederu jedynego źródła lichego żywota“.

DYBOSKI I ZIELIŃSKI

Otóż tak ten Rebe, jak i tamta Rebeka są w błędzie. Myli się również w swej egzegezie prof. Dybowski, gdy chociaż ekspert i rzeczoznawca, ale zainfekowany już nieuleczalnie miazmatami krakauerskiemi (i amerykańsko - londyńsko - oxfordzkiemi) pisze:

„Szekspir nie byłby dał jego ekspozycji i wyrzekaniom tyle miejsca w dramacie, gdyby się nie był, choć chwilami, głęboko przejmował krzywdą jego narodu i osoby. Poetyckiem streszczeniem całej historji żydostwa, w średniowiecznej i jeszcze w renesansowej Europie, jest wszystko, co do siebie i do panów weneckich mówi Szajlok i co oni mówią do niego“.

To jest „Weltanschaung“ Brandesa, „humanitaryzm“ z ery Rotszyldów i Dreyfussów, kiedy była haussa na masonerję a burmistrzem Rzymu Nathan. Autentyczny Szekspir nie ma z tem nic wspólnego, jak nie miał Marlove, Webster i wszyscy z Majden-Taverny.

Archimasońskiemu prof. Dyboskiemu należy przeciwstawić wprost wspaniały, suwerenny imponujący swą zwięzłością, lapidarnością, głębią i perspektywami protest jednej z najpiękniejszych indywidualności naszej epoki, t. j. prof. Zielińskiego.

Ten wielki pan intelektualny (dla którego jednego wartało stworzyć cokół „akademji“) wypowiedział v e r b a v e r i t a t i s może najkrystaliczniejsze, jakie w tej m[illegible]ji wypowiedziano u nas w ostatnich czasach, uderzając równocześnie w samo sedno, w sam rdzeń koszmarnego problematu: Szajeock. Ten Demon Złota, ten mammonarcha, ten Masynissa (Krasińskiego), który do swego rydwanu Dzingischańskiego zaprzągł wszystkich Pankracych (Krasiński), przechrztów, meteków, masonów i masjonistów, ten archisadysta czrezwyczajny (jacy w minjaturze są w każdem polskiem miasteczku), nie jest żadną gnębioną, uciemiężaną jednostką ludzką. To jest wcielenie giełdy i antychrystjanizmu, zły duch za kulisami, szara eminencja każdego regenta, każdego regimu, Stahl przy dynastji Hohenzollernów, Witte przy Romanowych, Stawiski przy bandzie łajdaków z nad Sekwany.

„Dzień i noc wiesza się przy uszach Doży płacze o zgwałceniu publicznych swobód, jeśli mu odmówią sprawiedliwości“... „Krzykiem skłonił Dożę“... „pójść z nim i okręt Bassania przetrząsnąć“. I Doża idzie. I słucha. I inni dożowie także. Dożowie w New-Yorku, z londyńskiego City, w Wiedniu, w Hadze, w Kopenhadze, w Bucuresti, w Budapesti. Dlaczego słuchają? Bo wszyscy cierpią na i n f e r i o r i t y c o m p l e x wobec Semitów. Bo się boją o swoje Wenecje, bo się boją, że biedni k r e w n i a c y bogacza Szajnlocka zbuntują im gondoljerów i lazzaronów i że pewnego dnia nagle na Bucrentaurze (wielka gondola Doży) wybuchine pożar a potem mord patrycjatu weneckiego a potem rzeź „królewskich kupców“, a potem wenecki Sowiet a na czele sędziów... Wiera Kirajewa, Jessyka Krzywicka i kameradka Kaganowicz... Esterka Związku Republik Radzieckich.

A. N.-TONJOWIE WIDZĄ JASNO

I otóż to właśnie widzą jasno, to przeczuwają tacy A. N.-toniowie dziś już we wszystkich narodach i krajach kuli ziemskiej.

I dlatego nie są „wygodni“, i „przyjemni“ Antoniowie ni Dożom ni Szajlockom.

„Panie Antonio, nie raz, nie dwa [razy,
„Szydziłeś sobie ze mnie na Rjalto,
„Zwałeś mnie kundlem, niewiernym [rabusiem,
„Plwałeś na moją żydowską opończę
„— Szajlok potrzeba nam teraz pie- [niędzy, —
„Tak mówisz do mnie, Ty co plwałeś [na mnie,
„Deptałeś po mnie, odganiałeś nogą
„Mamże odpowiedzieć: Panie, w [przeszłą środę
„Plunąłeś na mnie, przed kilkoma [dniami,
„Psem mnie nazwałeś, potrąciłeś [nogą;
„Za tyle łaski, daję ci pieniądze...?“

Na co Antonio:

„Jak dawniej byłem, tak dziś jestem „gotów“.

Tylko oczywiście ani „nogą kopnąć“, ani „pluć w brodę“, bo to zoologja, ale zwalczać wszelkiemi sposobami godziwemi (dopóki wystarczą), a semickimi i Shylokowskiemi, gdy godziwe zawiodą i okażą się w walce z m o r a l - i n - s e m i t y niewystarczające, dziecięce, dulskie, safandulskie. A gdy i takie zwalczanie nie wystarczy, wtedy „gwałt niech się gwałtem odciska“, oko za oko, ząb za ząb i n o t t e d i S a n B a r t o l o m e o. Na zabawy nie będzie pora. Oni się nie bawili w Moskwie, ni w Budapeszcie q u a n d I z r a e l e s t r o i.. jak się też nie bawią i nie ceremonjują z Arabami w „Ziemi“ ongiś „świętej“, a dziś Czyścowej jeżeli nie już: Inferno.

Tak to, tak, drodzy rodacy, drodzy Judosłowianie! Nic na to poradzić się nie da: Jedyny poeta świata dosłownie Immortalis jest właściwie tylko ten, który obok „Hamleta“ zostawił nie Anglikom, lecz ludzkości w testamencie „Kupca Weneckiego“.

SZEKSPIR ZAWSZE MŁODY

Kiedy teraz „Korjolana“ po trzechtygodniowej przerwie jedenastego marca wznowi w Paryżu Komedja Francuska, widownią „Domu Moliera“ przejdzie od góry do dołu dreszcz odrazy do tego ludzkiego, żywego, zgangrenowanego ścierwa masońskiego, do tej moralnej padliny, która zsemityzowana doszczętnie pchnęła przepiękny naród w przepaść ostatecznego upadku. I może duch Szekspira przegna znów do wszystkich djabłów ducha grafomana Woltera: I może wreszcie przyjdzie tam człowiek Twardy, który pomny tego, że to przecież w Bayonnie była pierwsza fabryka bayonettów nie czcionkami drukarskiemi, ale właściwym ołowiem zrobi porządek w swej nieszczęsnej ojczyźnie.

„Korjolan“ w Komedji sam nie wystarczy. Trzeba wznowić w Paryżu i „Kupca Weneckiego“. Oby i tam znaleźli się Rosenkrantz i Guldenstein, którzyby i taką premjerę zaryzykowali. Tam we Francji Szajn-lock już wyciął spod serca dłużnika kawał żywego mięsa i rzucił w środek masońskiej, utuczonej, psiarni. Antonjo zamrze z upływu krwi, jeżeli go chirurdzy nie uratują. I nie u r a d u j ą jego już gasnących oczu widokiem schwytanego za gardło, przypieranego do muru, charczącego z besilności i błagającego o pardon Shyloka vel Masynissy... vel...

Już chciałoby się napisać: Antychrysta...

Ale przecież Shylock zapowiedział i zaprzysiął zagładę i Japończykom i Muzułmanom...

Tak i zaprawdę: Szekspir jeszcze żyje i jeszcze młody i konkurent zawsze zwycięski...

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Żywoty pań świadomych

Propaganda świadomego macierzyństwa odbywa się w Krakowie zapomocą ulotek na ulicach. Powieści pornograficzne zagraniczne sprowadza się i tłumaczy masami. W Warszawie prasa pornograficzna rozwija się imponująco. Akcja rozkładowa idzie więc wszechstronnie i konsekwentnie. Za pornografje i propagandę ograniczenia urodzeń pism się nie konfiskuje.

W dziedzinie moralności panuje liberalizm, a na sprawy seksualne patrzy się z punktu widzenia demokracji pięcioprzymiotnikowej (powszechność, stosunkowość, równość, bezpośredniość i jawność). Więc pytam się: gdzie są pułkownicy?

Opowiada się w Polsce tyle o tych pułkownikach, a nikt nie ma do nich pretensji o to, o co należy ją mieć: że za mało są pułkownikami. Bo rozumiem, że pułkownik może nie przejmować się gadaniną o upadku moralności, „filozofją“ i tego rodzaju rzeczami. Ale pułkownik musi przejmować się sprawami obrony państwa. Pułkownik musi przejmować się kontyngentem rekruta. Pułkownik musi przejmować się przyrostem naturalnym. A u nas ci nibypułkownicy patrzą obojętnie, jak się w kraju szerzy dezercja. Straszliwa, zorganizowana akcja dezercji. Jak zwykle dopomagają w tem żydzi (dr. Rubinraut). Corocznie dziesiątki tysięcy żołnierzy in spe dezerteruje w niebyt.

Gdyby pułkownicy byli pułkownikami, toby:

a) wprowadzili ostrą cenzurę prasową w zakresie moralności,

b) pakowali świadome panie do ciężkiego więzienia za dezercję, a organizatorów i propagatorów do jeszcze cięższego za organizowanie dezercji,

c) postawili do karnego raportu wszystkich swoich partyjnych towarzyszy, którzy z każdym awansem zmieniają żony,

d) zakazali swoim ludziom i swoim żonom chodzić do nocnych dancingów,

a to wszystko ze względu na obronę kraju.

Bo na czem polega pokój europejski? Na równowadze sił. Co to jest równowaga sił? Nie należy sobie wyobrażać, że jest to coś tajemniczego z zakresu dyplomacji, czy prawa międzynarodowego. Równowaga sił polega w tej chwili na tem, że Niemcy mają kontyngent rekruta 489 tysięcy, Włochy 297, Polska 265, Francja 221.

Ta ostatnia cyfra, to efekt i wynik świadomego macierzyństwa, uprawianego od lat. Francja ma o dziesięć miljonów więcej od nas ludności, a o czterdzieści tysięcy mniej liczny rocznik wojskowy. Ale we Francji rządzą pacyfiści, a u nas podobno pułkownicy.

To jest właśnie równowaga polityczna. Niemcy mogą mieć przewagę, ale tylko z Włochami. A na to trzebaby poświęcić Austrję. Jeżeli przyrost naturalny Polski będzie spadał a Niemiec przestanie spadać wskutek propagandy Hitlera, to równowaga zostanie złamana. Skutki najlepiej ocenić powinni — pułkownicy.

Więc trzeba zacząć walkę ze świadomem niemacierzyństwem, z wszelkiego rodzaju osłabianiem poczucia wstydu. Propagujcie nieświadome macierzyństwo! Ideał państwa gotowego do wojny, to obraz takich ludzi, jak w „Hrabi Monte Christo“ Dumasa, gdzie:

„— Tak jest — powiedział agent policji, oblewając się jednocześnie gwałtownym rumieńcem wstydu“.

Czyż może być bardziej skrajny wzór społeczeństwa niezdemoralizowanego, jak takie, w którem tajniacy oblewają się rumieńcem wstydu? Taki agent był napewno ojcem siedmiorga dzieci.

A tymczasem u nas...

To mają być pułkownicy? To pułkownik tak dba o przyrost naturalny? Kto widział synów sanacyjnych t. zw. pułkowników? Kto słyszał o represjach rządów „pułkownikowskich“ przeciwko propagandzie ograniczenia urodzeń?

Wiecie co wam powiem?

Nie żadni pułkownicy, ale konni socjaliści, ot coście wy są!

Zdzisław Broncel

Twórczy niepokój

Jeżeli naszej obserwacji ludzi i wydarzeń damy zadanie zbierania dowodów wewnętrznej klęski współczesnego człowieka, to niewątpliwie każdy dzień przyniesie nowy dokument, potwierdzający nasze przekonanie. Przekonanie, że wchodzimy w okres walki o odnalezienie sensu życia i że ten sens jest przeciwstawieniem stanu obecnego, jest wobec niego rewolucyjny.

Oto przed paru dniami wpadła mi w ręce notatka o ostatniej książce, jaką czytał Król Albert belgijski. Ten człowiek, którego imię jest dziś już symbolem, studjował „La révolution nécessaire"... i do tytułu dopisał — „des Esprits et des Ames". Oto tego samego dnia trafiam na starą recenzję Moranda z książki Daniela Ropsa „Świat bez duszy", w której Morand pisze: „obecny kryzys jest czemś zupełnie innem, niż załamanie kapitalizacji i rozdziału dóbr, jest to zgon etyki". Wieczorem rozmawiam z ludźmi, znajdującymi się na gładkiej drodze powodzenia i sukcesu i wyczuwam w ich nastroju niezadowolenie z życia, powiedzmy dokładniej — niezadowolenie z roli, jaką odgrywają w życiu. Nawet ci karjerowicze, udatnie zwiększający cyfrę swego dochodu, ilość potrzeb i ich zaspokojenie, nie znajdują szczęścia, które zdawałoby się będzie ich udziałem, gdy nie odmówią sobie żadnej satysfakcji materjalnej, gdy przyszłość daje im nadzieję wzrostu zaspokojonych pożądań. Nawet ci mają jakiś głos, który im mówi, że ich rola życiowa, jako ludzi, uległa skompromitowaniu, że jest zatopiona w wygodnem, spokojnem, trwałem poniżeniu, że cierpią na jakiś brak, na uwiąd czegoś istotnego, co jest niezbędne do pełni życia.

Są przedewszystkiem zmęczeni walką o powodzenie, którego szczytowym etapem będzie musiało być pytanie: — i właściwie cóż z tego, że mam najnowszą markę samochodu, nowoczesny dom, nowoczesne udogodnienia, jeżeli równocześnie jestem niewolnikiem nowoczesnej organizacji życia. Organizacji fałszywej, bo obmyślonej tylko ze względu na cel materjalny, który znowuż jest zbyt łatwy i pospolity i doczesny, żeby mógł nadać sens życiu. Jeśli więc nawet w tych, na których opiera się obecny system ludzkich stosunków, występuje znużenie i świadomość bezsensu gonitwy, do jakiej się wprzęgnęli, to pokolenie wydziedziczonych musi poprostu wyznawać nienawiść wobec życia, jakie mu zostało narzucone. Do pokolenia wydziedziczonych należą przedewszystkiem młodzi.

Młodzi wchodząc w życie mają do wyboru zgodę na obecny system i prowadzenie walki, w której są szanse zdobycia dobrobytu materjalnego, albo też zajęcie postawy rewolucyjnej i przeciwstawiającej się światu takiemu, jaki istnieje i takiemu, jaki nadchodzi od strony rewolucji ekonomicznej.

Przyłączenie się do obozu, atakującego tylko obecny ustrój gospodarczy, rozdział dóbr i t. d. nie jest równoznaczne z rewolucyjną postawą wobec świata. Jest to właśnie nie rewolucja, ale zgoda na starą treść w nowej formie. Istotną rewolucyjnością jest protest, który gdzieindziej wyznacza główne miejsce ataku. Jeżeli zaspokojenie potrzeb gospodarczych nie jest podstawą szczęścia i odczucia sensu życia, to szturm rewolucyjny musi iść w stronę pojęć o zadaniach, obowiązkach i prawach człowieka w świecie i przekształcić je tak, żeby mogły dać człowiekowi współczesnemu szczęście wewnętrzne i przekonanie, że życie jego ma wyraźny sens metafizyczny. Że jest dla świata czemś koniecznem, pożytecznem, czemś więcej, niż egoistyczne bytowanie w ramach praw, jakie ustalił „homo oeconomicus".

Gdy czytamy o rosnącej cyfrze bezrobotnych i o marnowanych produktach, gdy jesteśmy świadkami pracy nad siły jednych i bezrobocia drugich, to już dziś trudno wmówić, że jest to skutek konjunktur i wad mechanizmu gospodarczego, które dadzą usunąć się przez działanie gospodarcze. Widzi się w tem tak właśnie, jak pisze Morand, śmierć etyki, zwycięstwo celu materjalnego nad celem duchowym w działaniu ludzkiem. I jeżeli równocześnie możemy stwierdzić przez obserwację, że ci, którzy służą celom materjalnym, czczą produktywizm, nie mogą obronić się przed wewnętrznem uczuciem pustki, to znaczy to, że prawda o kryzysie współczesnym jest różna od oficjalnych wypowiedzeń i oficjalnych symboli. Oficjalne środki ratunku są fałszywe. Podtrzymywanie haseł produktywizmu i ustroju, opartego na produktywizmie jest niewiedzą o rzeczywistości Rzeczywistość dąży do zerwania z ograniczeniem człowieczeństwa, jakie wprowadziła formułka homo oeconomicus. System, w którym pojawia się głęboka niezgodność między symbolami oficjalnemi, a faktami, jest już raniony śmiertelnie.

Ostatnie zdanie pochodzi z książki Daniela-Ropsa „Lata na przełomie"[1]). Daniel-Rops, autor głośnych studjów „Nasz niepokój" i „Świat bez duszy" jest we Francji propagatorem rewolucji, pojętej jaknajszerzej. To znaczy rewolucji rozszerzonej z zakresu materjalnego do zakresu duchowego. Ostatnia jego książka „Les années tournantes" jest obroną postawy rewolucyjnej. Daje analizę pojęcia rewolucji duchowej, przegląd ideologiczny grup młodzieży francuskiej i oskarżenie wymierzone przeciw obecnemu porządkowi politycznemu, ekonomicznemu, przeciw obecnej filozofji, nauce i sztuce.

Podstawowem założeniem jego książki jest twierdzenie, że żyjemy w okresie fałszywej hierarchji wartości. Cel szczęścia ekonomicznego, który powinien być tylko środkiem do szczęścia wyższej kategorji, tylko elementem rozwoju, stał się celem zasadniczym. To skolei oddziaływało na stosunki ludzkie, wywołując natężenie egoizmu. Indywidualizm uległ spaczeniu — poczucie własnej osobowości kształtowało się nie na tle życia społecznego, ale w przeciwstawieniu do wszelkiej zbiorowości. Człowiek współczesny — zdaniem Ropsa — nie szuka siebie w działaniu na rzecz innych, ale w walce przeciw innym, szuka wolności osobistej nie w zgodzie, ale w walce ze zbiorowością.

Jeżeli na tem podłożu zjawia się krwawa rewolucja gospodarcza, to nic nie mają na swoje usprawiedliwienie ci, co do niej doprowadzili. Zwyciężeni w walce o cel materjalny mają równie dobre prawo zgnębić kiedyś zwycięzców, jak to oni uczynili z nimi samymi. Kto wyznaje egoizm, ten nie może się dziwić, że wreszcie padnie ofiarą obcego egoizmu.

Daniel - Rops tej rewolucji nie aprobuje. Uważa ją za zmianę posiadaczy dóbr, a nie za zmianę rozdziału dóbr. Gdyby nawet rewolucja wprowadziła i ustaliła sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego, to jeszcze dla autora „Świata bez duszy" przyjęcie tej rewolucji byłoby największą zasadą ideału, jaką może popełnić młodzież.

Ponieważ nie byłoby zmiany istotnej. Byłby atak na przejawy, a nie na podstawę pewnego systemu. Pomyślny wynik rewolucji wyłącznie ekonomicznej stwarzałby największe niebezpieczeństwo, do jakiego mogą dojść ludzie — to znaczy zaznać tyle szczęścia materjalnego, że zapomina się o istnieniu innego szczęścia.

Daniel - Rops jest rewolucjonistą walczącym o to inne szczęście, którego rozprzestrzenienie w świecie wymaga rewolucji duchowej, tej samej rewolucji, którą zaznaczył w swym dopisku król Albert i która jest równoznaczna z odrodzeniem etyki, żądanem przez Moranda.

Oczywiście Daniel - Rops wierzy, że rewolucja duchowa pociągnie za sobą zupełną przemianę ustroju gospodarczego, społecznego i politycznego, tak, że powstaną warunki ekonomiczne, niezagrażające niezależności ducha.

Jakiż jest sens tej rewolucji? Jaka jest treść tego szczęścia, które Rops przedkłada nad szczęście materjalne? Odnalezienie sensu życia — tak brzmi odpowiedź. Jak to osiągnąć? Przez przyjęcie wiary, idei, postawy życiowej, w którejby nie było nic fałszu wewnętrznego, przez dojście do przekonania, że człowiek nie jest ograniczony do celów ziemskich, ale że jego istnienie posiada cel metafizyczny — stwarzania królestwa dobra i miłosierdzia.

W mocy ludzkiej — mówi Daniel - Rops — jest danie wszystkim warunków szczęśliwego życia, ale tylko wtedy, gdy z jednej strony pójdziemy przeciw egoistycznemu indywidualizmowi, z drugiej — przeciw wszelkim systemom, dla których człowiek, istota żywa i twórcza, zostaje sprowadzony do anonimowej funkcji, ujętej w prostackie prawa.

Piękne hasła „Lat na przełomie" łatwo uznać. Trudność zaczyna się wtedy, gdy przychodzi do ich wypełnienia. Otóż właśnie dla połączenia teorji z praktyką trzeba dokonać tej rewolucji, o jakiej mówi Rops. Powstaną konflikty, w których szczęście materjalne trzeba będzie poświęcić dla radości postępowania własną drogą życia, uświęconego przez wiarę w metafizyczną wartość swego celu. To poświęcenie będzie możliwe tylko wtedy, gdy w hierarchji wartości zaspokojenie naszych potrzeb materjalnych przestanie być rzeczą najwyższą, najcenniejszą.

Osiągnięcie tego wymaga istotnie — rewolucji wewnętrznej w człowieku. Daniel Rops mówi o niej, że ten gwałt, jaki musimy dokonać na swych pragnieniach, jest równy krwawemu gwałtowi, jaki spełniają na przeciwnikach rewolucje historyczne.

Skąd bierze się w człowieku możność dokonania tego nowego narodzenia się wewnętrznego, tego przejścia od materjalizmu do idealizmu? Daniel Rops widzi w niepokoju wewnętrznym tę siłę odrodzeńczą.

Niewiadomo skąd w nas jest ten niepokój —jest to chyba najbardziej boski dar duszy. Żąda on ciągle sprawiedliwości, rozsądza złe i dobre, protestuje nieustannie przeciw kompromisom i fałszom, żąda, ażebyśmy się poddawali tylko tym prawom moralnym, czy religijnym, które stały się koniecznością naszego serca. Chrześcijanizm nazwałby go głosem sumienia. Jest to zarazem głos godności człowieka. Ten niepokój wewnętrzny, który naprzekór drogom łatwym i łatwemu szczęściu każe nam szukać jakichś pozaziemskich perspektyw, który wymaga bohaterstwa, poświęceń, który torturuje człowieka, gdy idzie się torem tchórzliwych ustępstw — wynika z pragnienia szacunku dla samego siebie. Z odczucia godności człowieczeństwa.

Dlatego Daniel Rops jest jego rzecznikiem i jemu poświęcił swoją działalność publicystyczną. Najistotniejszą pracą, jaką możemy wykonać dla najistotniejszej rewolucji, a więc rewolucji ducha, jest wzniecanie w ludziach tego niepokoju, rzucanie żagwi pod serca.

Ten niepokój, „l'inquiétude" Daniela Ropsa jest także najlepszą gwarancją dla wszystkich młodych ideologij, dla próby przebudowy świata; człowiek, który go doświadcza, nie pójdzie za hasłami ze względów oportunistycznych.

„Lata na przełomie" „l'inquiétude" określają jeszcze jako młodość serca, pozostającą w duszy „nieprzyzwyczajonej". To określenie Daniel Rops wziął od Péguy, dla którego duszą „przyzwyczajoną", straconą, była ta, co zrezygnowała z własnej postawy wobec walki niesprawiedliwości ze sprawiedliwością.

Niepokój Ropsa jest twórczem „nieprzyzwyczajeniem" do zmaterjalizowanego świata.

[1]) *Daniel - Rops*: „Les années. Str. 261. Paris. Ed. du Siècle.

Stanisław Cywiński

Wyznawstwo czy też krytyczna spółdźwięczność?

Nie bronię się, ale zaprzeczam ostatecznie.

C. N.

Krytyka literacka wspiera się na dwu słupach: na metodzie estetycznej i intuicyjnie-poznawczej, co odpowiada pojęciom treści i formy. Mimo to, iż te dwa składniki są tak poplątane, iż niepodobna ich od siebie oddzielić, nikt nie wątpi, że np. sonety Mickiewicza — to poezja czysta, to królestwo formy, gdy przeciwnie Krasińskiego Psalmy czy Niedokończony poemat, Norwida Promethidion czy też Quidam — to poezja prozaiczna (że zastosuję terminologję B. Croce'go w art. o Giustim w **Poesia e non Poesia**, 1920, str. 165—6), która „wyraża wierszem rozprawę, przestrogę lub naganę, zwraca na nią uwagę, wypowiada swą myśl powabnie i pomaga spamiętać. Autor takiego utworu, jeżeli jest artystą, może się podobać, acz nie osiągnie prawdziwego piękna, co zresztą nie było jego zamiarem"[1]).

Jeśli więc w pierwszym wypadku, przy sonetach Mickiewicza, metoda estetyczna niemal wystarcza, to w wypadku drugim krytyka ideologiczna wyraźnie przeważy. Najczęściej jednak obie te metody są potrzebne i nawet niewiadomo której oddać należy pierwszeństwo. Tak jest np. przy Boskiej i Nieboskiej Komedji, przy Fauście, Dziadach, Królu Duchu, Kleopatrze Norwida, Weselu Wyspiańskiego, Wojnie i pokoju Tołstoja i t. p.

Jasne więc, że krytyk literacki winien operować obu metodami, raz przeważnie tą, kiedyindziej ową, acz ze względu na własne skłonności może sam wybierać dzieła czy pisarzy, przy których analizie jedna metoda wyraźnie i stale będzie miała nad drugą przewagę.

W każdym jednak wypadku rzetelnego badacza literatury obowiązują pewne zasady natury ogólnej, bez których praca jego przeważnie nie będzie posiadała wartości, a w każdym razie nie będzie mogła nazywać się naukową. Zasady te to: a) sumienność, uczciwość, bezstronność; b) zdolność do historycznego traktowania dzieła (co zresztą nie wyklucza pewnej tendencji do aktualizowania); wreszcie i nadewszystko: c) krytyczny stosunek do zjawisk literackich, bez którego niema mowy o wartościowaniu, t. zn. o tem, co jest właściwym celem krytyki literackiej.

Jakże tedy mam oceniać wystąpienie pewnego pisarza w Drodze (1933, Nr. XI, str. 1130—31) — tego samego, co zakwestjonował tamże nacjonalizm Norwida — który wyraźnie ze złą wolą imputuje mi stanowisko „wyznawcy" wobec Norwida i pisze:

„Rzeczą oczywistą jest, że dla „wyznawcy" Norwida, dla przychodzącego do jego dzieł po naukę, obojętna być musi ich wartość estetyczna; gdyby było inaczej, musielibyśmy zwątpić o szczerości ich poszukiwań...".

Cóż robić? Schyliłbym głowę przed surowym wyrokiem, gdyby nie zgoła niespodziany sukurs, co mi przyszedł od tegoż oskarżyciela, który w drugiej części powyżej zacytowanego zdania dodaje: „...podobnie jak o sile wiary tego, kto śród łaskami słynących obrazów Matki Boskiej wybrałby bardziej wartościowy z punktu zalet malarskich".

Porozumiejmy się! Czy panu rzeczywiście chodzi szczególnie o owe obrazy „łaskami słynące"? Więc obrazy Madonny, nie mające tego przywileju, mogą być oceniane przez katolików? i tylko piękna np. obrazu Ostrobramskiego nie mogą oni ocenić i przenosić go pod względem artystycznym nad inne cudowne obrazy, bo to musi pozostać wyłącznym monopolem ludzi niewierzących?

Podobnież o pięknie Boskiej Komedji Danta nie mogą sądzić ani Berthier, ani Bernardinelli, ani Ozanam, ani Scartazzini, ani Pappini, którzy podzielają religijną ideologję Dantego, lecz jedynie Gioberti, Carducci, lub powiedzmy K. W. Zawodziński, albo jeszcze lepiej Nietzsche, który nazywa Dantego „hieną katolicką". A o Schillerze czyż ma prawo mówić protestant i kantysta, czy też jedynie katolik? Zaś o Erenburgu czy Tuwimie nie wolno mówić Żydowi i bolszewikom, bo to są ich „wyznawcy", lecz tylko faszystom i endekom?

Widzimy, do jakich absurdalnych oto wniosków doprowadza nas anathema, rzucona na mnie jedynie za to, że skład psychiki mojej jest naogół zbliżony do świata pojęć Norwida. Autorowi jakoś nie przychodzi do głowy, że okoliczność ta nietylko nie wyklucza równoległej zdolności do estetycznej oceny, w myśl przysłowia: **et haec facienda et illa non omittenda**, ale że właśnie najlepiej mogą oceniać filozofję, poezję czy inne wartości twórcze szczególnie ci, co dzięki spółdźwięczności z twórcami mogą głębiej przezierać ich istotne intencje tak natury myślowej, jako też artystycznej. „A kto nie jest serca bratom, ten nie pozna ze słów duszy", mówi Słowacki.

Lecz autor powyższego oskarżenia brnie dalej:

„Samo rozróżnienie dzieł cenniejszych i mniej cennych artystycznie nie istnieje przy szczerze „wyznawczym" stosunku do poety. Wszystko tonie w jednej mętnej fali zachwytu, wszystko jest jednakowo genjalne".

Jeśli to zdanie jest prawdziwe, to jest ono skierowane pod złym adresem. Ale jeśli to ja mam być tym „wyznawcą", to cała myśl powyższa jest jaskrawym nonsensem. (Może być też równocześnie jedno i drugie).

Bo oto już w młodzieńczej mej pracy o Norwidzie, pierwszej, co wyszła spod mego pióra już na wiosnę 1909 (i, dodajmy, pierwszej wogóle osobno drukowanej rozprawie o tym poecie) piszę na str. 15 — 16:

„Norwid stanowczo przekracza ramy poezji: zadaniem jej bowiem rzucać intuicyjnie zdobyte prawdy, o uzasadnienie ich w poezji nie powinno chodzić... Tymczasem twórczość Norwida bardzo często przekraczała ramki utworu czysto-poetyckiego i wchodziła w zakres essai'u filozoficznego". A dalej: „Bez trójcy nie byłoby Norwida.. Nie może on być dziś narówni z wieszczami stawiany" (str. 17).

Następnie w antologji norwidowej (1924) znajdziemy taki sąd o Pieśni Społecznej: „Utwór ten pod względem artystycznym pozostawia wiele do życzenia" (str. XI). Dalej: „Promethidion posiada wprost nawał głębokich myśli, które, rozsadzając formę poematu, gdzieniegdzie się gmatwały i obniżały artystyczną jego wartość" (str. 76). O pewnej strofie w tymże poemacie mówi się, jako „o wierszach niebardzo udatnych artystycznie" (str. 56). Dalej: „Słowacki, Krasiński czy Norwid próbowali się imać ścisłego wykładu dla wyrażenia prozą naukową tego, co za prawdę mieli, ale to się im nie udawało" (**Literatura a Filozofja**, str. 10).

„Jedno z najsłabszych dzieł N-a: „Krakus" (Dzien. Wil. 1932, Nr. 138).

„Assunta — jeden z najsłabszych utworów N-a" (Gaz. Liter., 1933, Nr. 8).

„Zawodzi Miriama dobry smak, zwłaszcza gdy stara się gloryfikować najsłabsze wiersze N-a, formalnie naśladujące twórczość ludową" (**Ruch Literacki**, 1933, nr. 3).

„W przedstawianiu tego konfliktu (N-a z krytyką) bardzośmy byli dotąd dalecy od właściwego, historycznego punktu widzenia. Nie mogły go zająć strony zainteresowane, t. zn. ani Norwid, ani jego antagoniści... Ale, niestety, nie zajęli go także pisarze naszej doby, którzy przecież powinni byli to uczynić. Więc Przesmycki czy Zrębowicz występowali w roli prokuratorów względem tych, co nie potrafili ocenić poety za życia... Inni (Krechowiecki, Kallenbach, Pini) podjęli się niewdzięcznej roli obrońców niechętnej Norwidowi opinji. Jakoś zabrakło sędziów, a toć to przecie jedyne po 80 latach godne historyka kultury stanowisko... N. często „o sztuce zapominał" i stosował metody właściwe raczej nauce, niż sztuce, raczej publicystyce niż poezji" (Gaz. Liter. 1933, Nr. 8).

Chyba tego dość?

Rzecz jasna, iż oprócz tych ocen ujemnych, lub w każdym razie ograniczających znaczenie twórczości Norwida, w pracach moich naukowych i popularyzacyjnych, poświęconych autorowi Cieniów, oraz w 136 wykładach o nim w Uniwersytecie, były też z konieczności oceny dodatnie, które zresztą oczywiście znakomicie przeważały.

To są fakty!

Wiem dobrze, że nie przekonam tych, co nie na podstawie faktów formułują swe sądy i osądy, powtarzając za Heglem: **rien de si bête qu'un fait**, i co, przejąwszy się zasadą, iż „polityka jest fałszywą grą", radziby na to same manowce wprowadzić całe życie publiczne narodu. Chodzi mi o co innego: o gruntowne zdyskredytowanie w oczach uczciwych czytelników nie tych lub owych ludzi, lecz jeno nielojalnych metod oceny, stosowanych względem tych, których z pewnych względów (najczęściej nic mających nic wspólnego z rzeczowością) uważa się za przeciwników. Zdania mogą i powinny być różne i fakty można też różnie oceniać, nie można tylko ich negować. Stąd nie chodzi mi, rzecz jasna, o to, czy oceny moje są słuszne, lecz o to jedynie, że jednak stosuję względem Norwida, jak zresztą wobec każdego zjawiska (nawet wobec religji), stały i czujny krytycyzm, totéż muszę odeprzeć z całą stanowczością epitet „wyznawcy" Norwida, który to tytuł ubliża tak naukowemu badaczowi, jako też — i zwłaszcza — osobie twórcy, którego on próbuje ocenić. Że mnie, jak każdemu, zdarzają się potknięcia i przeoczenia, tego nie zaprzeczam, jako żywo, i nie wstydzę się tego, ale któż mi zarzuci, że w całej mojej oto 25-letniej działalności pisarskiej przyświeca mi inna gwiazda, niż płomienne umiłowanie prawdy, której poświęcam absolutnie wszystko na świecie i która kieruje — przedewszystkiem! — moim stosunkiem do Norwida?

Że w całokształcie tej mojej pracy pisarskiej umiem wogóle stosować — i stosuję stale — także kryterja estetyczne, nie będę się tu legitymował, — bo i przed kim-że to? Ale zapytam tylko: na jakiejże to podstawie sporządziłem wybór poezyj Norwida? Jakież wartości starałem się z nich wydobyć? Czy tylko natury ideologicznej? Jakież stanowisko, czy „wyznawcy", kazało mi na 88 ustępów wybrać aż 56, należących do t. zw. poezji czystej, ze stosunkowo małą — jak na Norwida — domieszką pierwiastka myślowego? Podobnież jeśli z Rzeczy o wolności słowa wziąłem do wyboru nieco więcej niż połowę tekstu, opuszczając resztę, to gdzież się znalazła — niemal cała — owa poezja prozaiczna, której tak wiele w tej Rzeczy? A jeśli nie wziąłem do wyboru Quidam, którego się domagał właśnie ten Sinko, który jest dziś autorytetem dla owego pisarza z **Drogi**, to czy byłem tu wrażliwy estetycznie, czy też nie? A że nie trafił do wyboru ten lub ów wiersz, któryby z pożytkiem mógł się tam znaleźć, czegoż to dowodzi? Czyż zgoła identycznego „zarzutu" nie można postawić wyborowi, sporządzonemu przez Miriama? lub doskonałej skądinąd antologji liryki polskiej Borowego? A zresztą każdemu „wyborowi"? Jeszcze niema, chwalić Boga, recepty na tego rodzaju wybory poezyj, zawsze jest wolne miejsce dla indywidualnych upodobań i — nieupodobań!...

[1])Cytuję wedle rozprawy M. Manna o B. Croce'm, Prace T. Nauk. Warsz. 1930, str. 44.

Wincenty Burek

S t r a j k

Reportaż wiejski

Zażywna jesień wyszła se na spacer i chodzi po świecie. Zajrzała do wsioskich zapłoci i jest rada, że tyle chleba rozpycha się po stodołach i po stertach obtężnich. Ucieszyła się z gadziny mnogiej i spaśnej. Wylazła wesoło spośród podokoli, żeby się popatrzeć na pola nagrzane, pulchne, zawszeć jeszcze strojne. Rozwłóczą się pola w migocie słonka, co zaglądą popod każdą bryłkę i wygania na wierzch cienkie piórka posiewu. Posiew najeżył się jak szczota, wiater z zachodu całuje ruń, wiater szeleśc. w zeschłych badylach ziemniaków. W całem okolu roznosi się spokój, i dosyt, i nadzieja ucieszna. Świat się rozdziawił jarym śmiechem. Swo͡je zrobił, plonów nasporzył, każde stworzenie zachyłek na ciężki czas ma — to i co? To się ino weselić, człowieku, ostatkiem ciepłych dni, przaśnym zapachem zruszonej ziemi, zwalniem z barków najtwardszej roboty. Radować się w rozhuku chłopskiej fantazji — i więcej nic! Więcej nic...

A przecie radość chłopska nie chadza pod pachę z sytną jesienią. Radość nie przegląda z chłopskiej gęby. Niema jej tu, schowała się kajsić, że ani jej odszukać. Radość uszła chyłczkiem, a na jej miejsce wylazł frasunek, zgłoba, osowiała mina wszystkiego wsioskiego pogłowia. Przepadła bujna radość, odleciała ptakiem. Żeby już widać nie powrócić w opłocia zaciszne.

Od chałupy do chałupy rozsnuwają się coraz żałośniejsze wieści. Podają je sobie ludziska w zgryzocie i smutku. Dzielą się pospołu skwitłym chlebem nowiny. Społecznie łatwiej przecie przenieść ugniot złego czasu. I ulżyć se ogadaniem w gromadzie. Ano i klątwą i zemstą. I tą myślą szukaną dla odporu. Myślą hardą i twardą. Jak ta dola — twardą.

— Za psi piniodz oddać musis, coś za rok upracował! — przewija się ten żal po drogach i chałupach. — Belcco wortos, chłopie, i ten twój sofuł na polu i w oborze.

— Nikt o ciebie nie stoi, choć ta wszyćko pono na tobie się opiro.

— Juścize, juści. Siejcs dobro, a krzywde zbiros.

— Na jarmaku krzywda.

— Na podotku krzywda.

— Kumorniki, zokuczniki krzywdzą.

— Kroku nie postawis, zeby ci naprzeciw nie wysła ta krzywda.

— A cy to nima rady? Nima sposobu?

— Byłby sposób, nalazłaby się rada, ino zeby...

— Zeby co?

— Zeby sie tak wziąć narazem.

— A to sie brać. To sie bronić i sie nie dać!

— No to walaj! Nima to u nos siły, cy jak?...

Po zapłociach chodzą chmurne głosy, zmawiają się w naradzie, pomrukują groźbą. Pobrużdżone twarze skrzepiły się na hart od upartych myśli, co się rozkołowały w chłopskim świecie, zalazły tu głęboko i teraz chcą kiełkować. I plonować skutecznie. Pożytek przynieść. A pokazać kaj potrza, co chłopska myśl zmajstruje, jak zechce.

Poniedziałkowy dzień supłał się niemrawo, jakby się walkonił po niedzielnem wypoczywaniu. Słońce gramoliło się po czystej niebieskiej powale i syciło cieplawą treścią wsioskie okole. Jesienny przełysk leżał powszędy, nieruchawy i blady. Leżał w pogodzie, do wygody.

Dzień zrobił się duży, słonie wspięło się na walną wysoczyznę, ale na wsi nie widać zwyczajnego rozruchu i krzątaniny. Pola stoją opuszczone, choć role wołają o podorywki, tu i ówdzie jeszcze są ziemniaki do kopania, a tam buraki odkrywają się spośród radlonek. Po polnych drożynach nie ciągnie się nikt, chyba ino te krowy wzbijają kurz i drepcą na pasionkę w mglistym obłoku. Wedle wsi leci gościniec, niezgorszy trakt na okolice. I ten gościniec zamarł dzisiaj, nie turkocą po nim wozy, nie roją się nieskończonym sznurem w tamtą stronę, ku miastu. Zmartwiała wieś, pola. Martwota chodzi po drogach, po gościńcach.

A przecie dzisiaj jarmark w Sandomierzu, odwieczny targ przy poniedziałku. Jak wieś wsią — zawsze o tym czasie ciągnął się chłopski naród z najdalszego okola, jechał furmankami po miastowe sprawunki. W latrach, wasągach, półkoszkach wypuczały się obgrubnie wory zboża na sprzedaż, gospodynie prymiły się kopiasto i werenowały na podołach koszyki z jajami, masłem, serem, a w fałdach spódnic krzekorzyły powiązane kwoki i kogutki. Zawsze o tym czasie szedł ściąg zewsząd, waliła chłopska procesja furmanek, buczały drogi, zapełniały się rynki miasta, ulice i uliczki, place i targowiska. Zawsze i bez odmiany tłoczyły się tam kaszkiety i kwieciste chustki, zapełniały sklepy, zalewały każdy kusiołeczek miastowej przestrzeni, szumiały i huczały rozgwarem głosów, przyjacielskich gadek, sporów i przetargów. Aż kipiało śród murów, aż rozdymało miejską ciasnotę. Wieś przychodziła do miasta po interesie.

Dzisiaj wieś do miasta pójść nie poszła.

— Chłopski strejk!...

Nie znali tu tego słowa i sposobu, co się w tem słowie pomieszcza. Nie znali, bo i znać nie było potrza. Różne ta nachodziły czasy na wieś, złe i dobre, jak to w chłopskiej doli, ale na taki układ i manier nigdy - przenigdy zdarzyć się nie zdarzyło. W chorym śnie się nie przyśniwało. Krótkim pomyślunkiem w głowie nie pobyło. Aż dopiero teraz...

Zły czas, krzywdy i niedole pospólne narodziły tę jedną wolę. Żeby się oprzeć i pokazać, co umiemy. Jankurny naród wsiowy, tyle skłócony i rzadko zgodny na jedno, tutaj potrafił pójść w foremnej zgodzie i jedności. Że niech przepadnie chód w pojedynkę, a niechże nastanie społeczny marsz wielką gromadą. Do gromadzkiego celu. Dla gromadzkiego dobra. Tak i nie inak!

— Ani ziorka do miasta!

— Ani krokiem stąpnąć na mieście!

— Znojdzie się Judos — nie puścić!

— Z drogi prześcigać!

— Strejk!

— Rolny chłopski strejk!...

*

Na Ocińku to samo. Tosamo co na Wysiadłowie, na Radoszkach, w Dobrocicach, na całej tej sandomierskiej rozciągłości, poutykanej różańcami żagród, ugniecionej depustami bidy niezgonionej. Tensam dech wieje ponad wsiami i napełnia dusze nieugiętą hardością i oporem na prawo zwyczaju i namolnej potrzeby. Obejdzie się pańskie wesele! Zobaczymy, kto wytrzyma i kto się bez kogo obejdzie. My dzisiaj wytrzymamy! Będzie zamało, to się jeszcze poprawi. A nie raz się poprawi, a nie dwa!

Niedzielne popołudnie zeszło na naradzie. Kiedyindziej trudno byłoby zebrać do kupy wszystkich Ociniaków, dzisiaj pozłaziła się ich pod sołtysa cała hurma. Starych i młodych. Przyjaciół i wrogów zabitych. Przeczytali to pismo od chłopskiej władzy w tych stronach, każdy poczuł, że na lepiej ono kieruje, rozebrali pospólnie ten pisany skład, obgadali, rozejrzeli akuratnie i:

— Stajemy za drugiemy!

— Zawroz gromadą!

— Jednem duchem!

Ano to w poniedziałek zabaczyła wieś, że to poniedziałek. To nic, że przydałoby się to i owo sprawić taniej w mieście. Że i jaki gałach zdałby się na grzbiet, i w kuchniach pozabrakło tego gasu, soli czy mydła. Nie będzie machory, to nie będzie. Nie kupi się omasty, to i mlekiem się warzę ozykoli — i już. Chłop więcej przetrzymał, to i tym niedogodom zradzić zradzi. Od tego chłop!

Robota stojąca nie ciągnie, bo przecie nie pili. Robota w polu nie ucieknie, a teraz potrza popatrzeć, jakto wieś wygląda w czasie, jakiego tu dotąd nie widywali. Czy kto się aby nie oderwie, nie osłabnie, nie spróbuje chyłeczkiem się wywinąć z obejścia naprzekór tym inszym, nieugiętym. Niewiadomo, jak i skąd wyłazi milkliwa nieufność, budzi się czujna ostrożność do ludzi. Mogli się wczoraj zaprzysięgać a zaklinać, że się nie odrzekną od strajku, ale dzisiaj nowy dzień, a z nowym dniem — insze stanowienie. Człowiek — to człowiek, słaby ułomny człowiek, harpeźny na zysk, na zdobycz. Kto wie?...

Nikt się przecie nie odłupywał od zwartej jak skała gromady. Przemijała późna godzina koło południa, wlókł się nieskory czas w wyczekiwaniu na coś, co może się jeszcze zdarzyć. Chłopy i parobczaki snuli się gromadami po drodze, rozprawiali chybko i z rozmachem o dniu tym. Tak ważnym, tak niebywałym.

— Strejk sie udoł. W mieście nima zywy dusy. Pies z kulawą nogą cheba się tam zabłąkoł — polatywało od gromady do gromady. Na gębach błyskotała uciecha i twarda okamieniała moc.

Pomału zaczęli się rozchodzić po obejściach. Swoje zrobili, czasu mitrężyć żal. Do roboty na przedobiedzia iść trza.

Raptem zadudniły koła. Suchy trajkot rozklekotał się na drodze zaraz za wsią. Ktoś wdyrdy gnał szkapska, jakby mu gdzieś było strasznie pilno.

Ten i ów poskoczył za stodołę, żeby popatrzeć, komu się tak śpieszy. I wnet przeraźliwe krzyki rozleciały się po wsi:

— Stasiok Siajniaguła jedzie!

— Do miasta pędzi dowyrypu!

— Trzymać!...

A tam na drodze już się zaczęła gonitwa. Skoro ino z obory wyjechał już go poczuli sąsiedzi i wypadli za furmanką z rozwrzaskiem. Stasiok lał koniom bata po bacie, trząsł lejcami, z siedzenia omału nie wyskakiwał w warjackiej jeździe. Tamci styłu pośpieszali na piechtę, ile sił w nogach, tyrtolili się zziajani i, nie mogąc dopaść do furmanki, wydzierali się w biegu:

— Łapaj! Na pomoc!...

Już ode wsi gnały hurmy chłopstwa. Ktoś dopadł szkapiny i naoklep rwał z kopyta. Pościg szedł długą linją. Ku przodowi uciekał Stasiok, konie gnały jak hamany, z pysków bryzgały im płachetki piany.

— Zabiegaj!

Walnie już się odbił od pościgu. Oglądał się coraz i widział, że tamci ostali daleko wtyle. Jeszcze ten zakręt ino — i droga prosta i równa.

Ten zakręt stanął Stasiokowi na zdradzie. Zakręt rozwinął się w głębokim wąwozie, wąwozem akurat szło bydło z pola, i zaczem Stasiok podjechał do wylotu, a już tam wpoprzek stał Wielki Franuś na szkapsku. Naprzełaj dobiegało paru chybkich parobczaków. Krzyki leciały nad głową furmana.

— Stój, dryniu — zadarł się Wielgi Franuś i grodził drogę chabetą. — Nie wyskwinies sie, ty Siajniaguło harpeźny!

Stasiok grzmocił zganiane konie grubszym końcem biczyska, ale gady już nie spotrafiły wydolić. Pobok Wielkiego Franusia zaroiło się od parobczaków. Stach Tworogoscyk leciał na Stasioka i ułapił go za skrzyl. Stasiok gibnął się znicbaczku i bachnął w półkoszek. Konie szarpnięte lejcami — stanęły.

Stasiok zerwał się i do kłonicy. Ale ręce nie zdążyły wyszarpnąć tęgiego drewna. Hurma zwaliła się na chłopa.

— A wy, cholery zbóje! Puśćta! Poszoł ode mnie — piszczał zduszony Stasiok pod kuksańcami. Okładali go garściami gdzie popadło. Wyzwiska i ciężkie klątwy długo się tłukły u wybiegu wąwozu...

L. Całkosińska

Na marginesie „Londres“ Morand'a

O Cicerone! Dlaczego te właśnie słowa nasuwają mi się po przeczytaniu niezrównanego „Londres“ Moranda? Po tej wędrówce przez historję miasta, jego gmachów, dzielnic i parków, przez których sylwetę autor ukazuje nam oblicze człowieka-twórcy? O Cicerone! Dlaczego po zamknięciu książki doznaję żałosnego uczucia nietrwałości świata? Kiedyś będzie mi dane poznać Londyn — lecz zapewne już nie ten, któremu Morand śpiewa swój hymn pochwalny [1]). Czy hymn? Nie jestże to raczej pożegnalne epitafium?

„Londyn jest rezultatem kompromisu pomiędzy ziemią i wodą, Germanami i Latynami, państwem i jednostką, niespodzianką i zwyczajem, słońcem i mgłą“.

Diderot widział w Londynie stolicę cnoty i rozsądku, dziś my kochamy go za to, że jest miastem illogizmu i wyjątkowych rzeczy. „Muzeum anomalji“, mawiał Emerson. Pięknością Londynu jest jego naturalność; wszystko, — nawet nadzwyczajność — jest w nim proste... Dla naszych ojców był miastem lubieżności i prostackich apetytów, miastem pozbawionem polotu. I rzeczywiście opada ciężko ku ziemi, — ale d u s z ę m a. Jego niskie domy nie przysłaniają nieba. Wydaje matowy, lecz pełny dźwięk; barwy są stłumione, lecz subtelne. „Wznosi się pełen przepychu i mgieł“... pisze wspaniale Vigny. Miasto, w którem Blake wywoływał Szatana, Milton opiewał Raj, gdzie Gainsborough malował najczystsze twarze, Hogarth czytał w sercach, Chateaubriand i Voltaire poczuli drganie swego geniuszu, gdzie Ludwik - Napoleon marzył o posągu współczesnej Europy. Verlaine płakał, gdzie Sheridan, Wilde i Shaw palili swe fajerwerki, miasto karmiące ongiś wszystkie dzieła Szekspira, mozcsz być pozbawione polotu duszy?

Londyn jest antytezą Paryża.

Paryż to barykady, — Londyn, to ustrój społeczny, Londyn opływa wodą, Paryż krwią, — krwią Armagnaców, — Bourguignonów, Hugenotów i Frondy, arystokratów 93 r. — robotników 48 — wersalczyków, komunardów, apaszów i dramatów miłosnych. Paryż to szynk, Londyn — klub. Paryż to konsjerżka, — Londyn to klucz w drzwiach. W Londynie rzeczy są piękne dzięki ludziom, w Paryżu pomimo nich. Paryż to nieufność, Londyn to kredyt. Paryż to Rozum rezonujący i Ludzkość, — Londyn Hazard i Wszechświat. Światła obu tych miast nigdy nie zleją się w jedno“.

Tak mówi Morand, żegnając swą londyńską młodość i stolicę Anglji, zagrożoną: inwazją Europy, ostrą ciekawością stałego lądu, wydobywającego tę staroświecką, przydymioną perłę z ukrycia, jakiem było jej naturalne położenie. I to memento Moranda przypada właśnie na okres, w którym artystyczna l'entente cordiale obu narodów zdaje się rokować trwałą przyjaźń. Właśnie teraz, gdy artystyczny świat Francji otworzył entuzjastycznie ramiona na przyjęcie nowego, wynurzającego się z fal cieśniny Kaledońskiej — niby Venus — syna Albjonu.

Mówię n o w e g o, bo przecież to już wiek bezmała, jak Anglja i Francja na mocy tajnego porozumienia pomijają w literaturze obustronnem milczeniem swoje istnienie.

Dwie tylko istoty uzyskały prawo wjazdu i wędrówek poprzez karty romansów i nadużywały przez lat dziesiątki tego przywileju. Ona: frywolna aktoreczka francuska, rujnująca szczęście rodzinne jasnowłosych ladies (czasem pozostawiała w spadku dziecko nieznanego pochodzenia, które mimo dobroczynnej atmosfery wyrastało na zalotną, płytką kokietkę). On: flegmatyczny Anglik (zdobny w parę rudych bokobrodów), uzbrojony w lornetkę, synonim tępej brzydoty. Nie pomogły tu nieliczne głosy, domagające się rehabilitacji Anglji, nie pomogły niepewne perswazje Taine'a, który mówi, że „wyniosła pycha i zarozumiała nietowarzyskość kryją n i e k i e d y dobre i tkliwe serce; jest to angielska maska na głowie(!) Niemca...“ ani wysiłki P. de Coulevain chwalącego lojalność, cnoty i home angielski. I trzeba było dopiero odgłosu wielkiej wojny, melodji Tipperary i maszerujących w jej takt pułków angielskich, trzeba było ich ofiar, złożonych na polach Flandrji, by razem z widmem Waterloo i Św. Heleny znikły te dwa żałosne upiory przedwojennej literatury.

Obywatel francuski odkrył naraz w towarzyszu broni Anglika i temu doniosłemu faktowi dał wyraz Maurois w swych kapitalnych szkicach „Les silences du Colonel Bramble“ oraz „Les discours du docteur O'Grady“. Historja trzech muszkieterów (a było ich czterech) highlanderskiego pułku: płk. Bramble, mjr. Parkera, dr. O' Grady i Padre Mac Ivor'a przejdzie kiedyś do historji nietyle dzięki humorowi i anegdotom, ile dzięki znakomitej „żywotności“ sylwetek członków oficerskiego mess. Pamiętacie państwo to „mise en scène“...?

„Uprzątnijcie stół — rozkazał dyżurnym pułkownik Bramble — dajcie nam rumu, cukru, cytryn i miejcie stale w pogotowiu wrzącą wodę. A powiedźcie ordynansowi, by przyniósł skrzynkę z płytami.

Messieu — zwrócił się do Aurelle'a — Co pan chce usłyszeć — Bing - Boys, Destiny - Waltz czy Caruso? Co do mnie tęsknię do głosu drogiej Mistress Finci — Magrini.

...Z winy Huna — wojna przestała być grą gentlemena — rzekł smutno pułkownik.

— Nigdyśmy sobie nie wyobrażali, że mogą istnieć podobne ciury. Bombardować bezbronne miasta! To równie niedopuszczalne, jak łowić pstrąga na robaka, lub zabić lisa wystrzałem z fuzji — dorzucił major.

— Nie należy przesadzać Parkerze — przerwał zimno pułkownik. — Tak daleko oni jeszcze nie zaszli“.

Jakże pouczające są te błyskotliwe, pełne humoru opowiadania, w których komizm sytuacji polega na konflikcie dwu ras, dwu kultur, dwu odmiennych sposobów rozumowania. Nie byłby bowiem sobą Francuz, gdyby nie dostrzegł, nawet w najpoważniejszych momentach, strony humorystycznej. Może ujść jego uwadze dowcip John Bulla i vis comica „Klubu Pickwicka“, tak jak w Anglji mija niedostrzeżona pointa Maupassanta. Ale komizm kontrastów staje się polem do niełada popisu. Z tego punktu widzenia, zarówno obie powieści Maurois, jak notatki z podróży Croisset'a [2]), należą do najdowcipniejszych spośród znanych mi książek ostatniego dziesięciolecia. Przyjrzyjmy się tylko wędrówce Croisset'a. Autor-literat, piękna i czuła dusza wybiera się bez elementarnych wiadomości z zakresu geografji w podróż na Cejlon i do Indyj. Ma plikę zaproszeń, pełne kufry, ale zapomina o mapie. Z tem wszystkiem jest naprawdę rozbrajający. Ten drugi, artystyczna trouvaille autora, Hollicot, młodszy brat bohaterów Maurois, porucznik, Anglik, jest naiwny, szczery, lojalny, a bezradność Croisset'a budzi w nim instynkty opiekuńcze i poczucie odpowiedzialności. Obarczony wiadomościami i cyframi, tyczącemi się kraju, w którym pełni służbę, usiłuje uzupełnić lukę w wychowaniu nowego przyjaciela. Stąd co krok nieporozumienia i czarujące, pełne komizmu sytuacje; tembardziej, że obaj młodzi ludzie wychodzą w rozumowaniu z odmiennego założenia.

Hollicot opowiada łamaną francuszczyzną o dwóch oficerach-sportsmenach. Codziennie trenują rzucając do siebie z wysokości 1-go piętra małem dzieckiem.

— A jeśli — pyta przezorny Croisset — któregoś dnia jeden z nich chybi i dziecko upadnie?

— To niemożliwe — woła gwałtownie Anglik — mały jest synem pułkownika. Żaden z oficerów nie wziąłby na siebie takiej odpowiedzialności.

Czytelnik razem z autorem wybucha śmiechem, ale naraz cichnie. Bo czy naprawdę odpowiedź porucznika jest śmieszna? Konieczność uzasadnienia faktu, że gentlemen nie podjąłby się czynu, którego nie może dokonać — nie przychodzi mu nawet na myśl. Rozumie się to samo przez się. Jeżeli rzucają, to napewno nie chybią!

Z takich to okoliczności — z tak pomyślanych książek, wyłania się coraz pewniejsza i dokładniejsza sylweta Anglika. Być może, że Morand ma słuszność, być może, że młody człowiek z epoki wojny, ten który zdał swój egzamin dojrzałości na polu bitwy, należy do przeszłości. Tem większa szkoda, tem większa zasługa Maurois i Croisset'a, że go uwiecznili w swych książkach.

Spójrzmy na niego, nim zniknie równie gwałtownie, jak wszedł (z przyjaznem „hallo“ na ustach) w progi powieści francuskiej. Oto przynosi ze swych morskich podróży posmak soli, zapach szkockich wrzosowisk, przemierzonych bez końca na grzbiecie konia, echo triumfalnego hallali i zawrotnego pościgu za lisem. I mimowoli pisarz francuski doznaje wzruszenia pomieszanego z podziwem. Spójrzcie — mówi — oto ten, który ośmiela się jeszcze aspirować do szczęścia. Wychowano go w miłości kraju, pogardzie dla niebezpieczeństwa, szacunku dla fair play. Podobny jest dzieciom wojowników perskich, które uczono jeździć konno, strzelać i mówić prawdę. Akrobację umysłową ma za cel sam w sobie. W życiu kieruje się naturalnym popędem — ceni przywileje i obowiązki swej klasy. Męstwo ma nie za cnotę, lecz czynnik dobrego wychowania. Szalony o tyle, o ile Anglja jest poważna. Sentymentalny, więc objawy uczucia ma w pogardzie. Kocha wieś, sport i swe psy. Zakorzeniony, wrośnięty w przeszłość kraju, niezawodny, niezdolny do zdrady i nienawiści. Nie zawiedzie się nikt na jego przyjaźni. Wznieśmy zatem trzykrotny okrzyk na cześć angielskiego gentlemana:

— Hurra! hurra! hurra!

— Panowie — odpowiada wzruszony Anglik ze współczesnej powieści — dziękuję wam, nie wiedziałem, że macie do mnie tyle sympatji.

— My też — przyznaje się ze skruchą Francuz.

[1]) Londres. P. Morand. Plon. 1933.

[2]) Francis de Croisset. La féerie cinghalaise. Grasset. 1926. Nous avons fait un beau voyage. Grasset. 1930.

Jerzy Konopacki

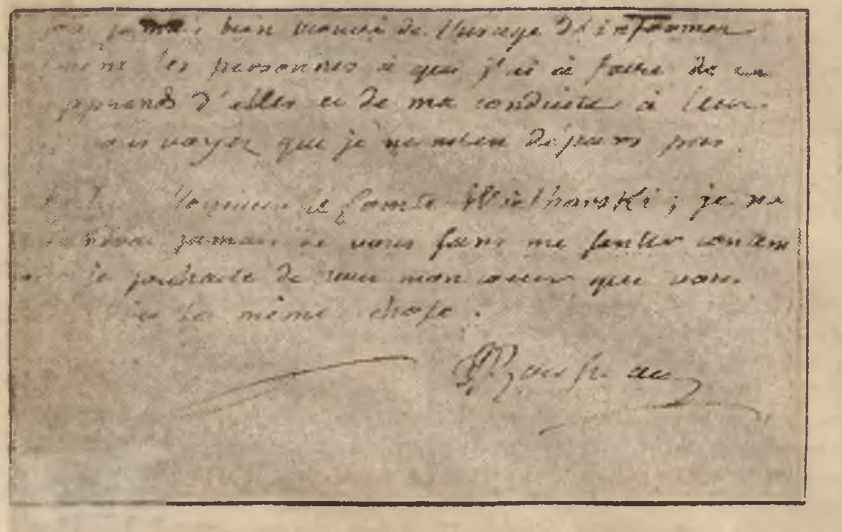
Genewski filozof i polski magnat

Niedawno Szpotański, znawca „mickiewiczologji“, wspomniawszy o dalekiej sobie epoce, napomknął, że Napoleon był wielbicielem Jana Jakóba Rousseau — „Napoleon... mój Boże!“.

Okazuje się, że dzisiaj nie wiemy dokładnie, jaki wpływ na względnie bliskich sobie latami wywierał genewski filozof... Ciekawem więc jest przypomnieć, w jakim stopniu, za życia swego jeszcze, oddziaływał Rousseau na kształtowanie się polskiej myśli politycznej; mogą o tem świadczyć pismami swemi ówcześni dyplomaci nasi, czerpiący natchnienia bezpośrednio od Rousseau — naprzykład, imć pan hrabia Wielhorski, prawdziwy przyjaciel i wielbiciel sławnego Jana Jakóba.

Tymczasem, zapatrywania pierwszego Cesarza Francuzów na filozofję utopistów z XVIII stulecia, streszczają się w trzech słowach: — „Nie wierzę temu wszystkiemu“. — Tak powiedział w młodości Napoleon o dziełach Rousseau. Później, będąc pierwszym konsulem, Napoleon, stojąc nad grobem filozofa z Genewy rzucił głazem słów najtwardszych: — „Dla spokoju Francji byłoby lepiej, gdyby ten człowiek nie żył“. — „Czemu, obywatelu Konsulu?“ — „Przygotował rewolucję“. Rousseau zwalczał władzę królów, nie umiejących się bronić; nie można go sobie wyobrazić w epoce Bonapartego, gdy rozbrzmiewały słowa Cesarza: „Można mnie zabić, ale nie obrazić“. — „Nie ścierpię, by mnie obrażano, jak jakiego króla“.

Tymczasem w XVIII stuleciu, najpospolitsza konserwa zwolenników dawnej „Złotej Wolności“, w sposób cudowny a nieświęty, umiała dzięki Rousseau przybrać pozór wyrazicielów ducha czasu i zmierzając spowrotem do starej anarchji, sprzymierzyła się z twórcą teorji „powrotu do natury“. Postępowy filozof francuski „wieku oświeconego“ żywił wobec władzy i władców uczucia też same, co polscy targowiczanie, a poprzednio zbłąkani politycznie konfederaci barscy, których przedstawiciel, Michał Wielhorski, zaszczycał się przyjaźnią Jana Jakóba Rousseau. Tych nad wyraz ciekawych okoliczności, zbliżających staro-republikańskie wstecznictwo polskie do farmazońskich poglądów Jana Jakóba, nie zaznaczył ks. Kalinka, w swem dziele o sejmie czteroletnim gruntownie rozważając, jaki wpływ miał Rousseau na społeczeństwo polskie.



Autograf listu Jana Jakóba Rousseau do M. hr. Wielhorskiego (oryginał w zbiorach Bibl. Ord. hr. hr. Krasińskich w Warszawie)

Askenazy polemizował z Kalinką, zarzucając mu „powikłanie przedmiotów religji i polityki“, oraz uważając, że niesłusznie autor dziejów „Sejmu czteroletniego“ oskarża Rousseau'a o „rozbrojenie‘ Polaków. Zdaniem piszącego te słowa, Kalinka w dużej mierze ma słuszność, ale z powodów, których sam nie zaznaczył, a które stwierdziliśmy powyżej: konserwatyzm polski XVIII-go wieku był rozbrojony przez filozofa genewskiego mocą ułudnego „powrotu“ do stanu „illo tempore“.

Gwiazda filozofji przedrewolucyjnej, Jan Jakób Rousseau, napisał dzieło poświęcone sprawom polskim. Zainteresowanie Sarmacją wzbudziły w nim rozgrywające się wówczas wydarzenia, o których wieści czerpał od Wielhorskiego. Jegomość pan Michał hrabia Wielhorski, syn Wacława, kasztelana wołyńskiego, kuchmistrz W. Ks. Litewskiego, politycznie był jakby prototypem Henryka Rzewuskiego, ale talentem z Rzewuskim nie mógł się równać, zamiast ciętych „Mieszanin Jarosza Bejły“ pisząc esseizmy „O przywróceniu dawnej formy rządu i praw Polski“.

W 1770 r. Wielhorski, jako poseł generalności konferencji barskiej będąc w Paryżu, zamierzył poznać sławnego Rousseau. Wspomnienia, opublikowane przed stu kilkunastu laty, w niepamięci tonące w kartach jakiegoś zapomnianego wydawnictwa, pozwalają nam odtworzyć sobie scenę zapoznania się konfederata barskiego z sentymentalnym filozofem.

To jest salon w stylu Ludwika XV-go. „Ukochane“ Rokoko malowideł i sprzętów płynie już ku liniom prostszym, rozwija wężowe sploty, zanikają szarpane linje stylizowania. Comte Wielhorski, konfederat barski, - tu, w wielki świat, wchodzi we fraku à la Pompadour, barwy pośredniej między szafirem i amarantem. Wymiana grzeczności z paniami de Villeroy, de Vermont, de Traversier. Rozmowa melodyjna, jak poszum, wionący przez rozwarte okno z niskich szpalerów. Wymówione wielkie nazwisko:

— Rousseau.

Zewnętrznie najnowomodniej przybrany „czarny“ konserwatysta wyraża uwielbienie dla postępowego, najnowocześniejszego wówczas filozofa:

— Przedziwne, że największy z żyjących autorów francuskich w ubogim, jak słyszałem, znajduje się stanie. Autor nieporównanego „Emila“ na lepszy los u ziomków swoich zasłużył.

Pani domu księżna de Villeroy zawstydzona:

— Ubóstwo jest powszechnem przeznaczeniem genjuszów.

— Rousseau jest jednak dobrowolnie ubogim — wtrąca pani de Vermont, która nigdy nie odrzuciła składanych jej ofiar — Rousseau nie chciał przyjąć dawanych mu wielokrotnie podarków, a niedawno skarcił Voltaire'a... za chciwość.

Wielhorski, antyrojalista, uśmiechnął się, pomnąc o przypochlebianiu się Voltaire'a głowom koronowanym, lecz udał bezstronnego:

— Literaci pamiętają zawsze o wzajemnych przyganach; stąd takie między nimi animozje.

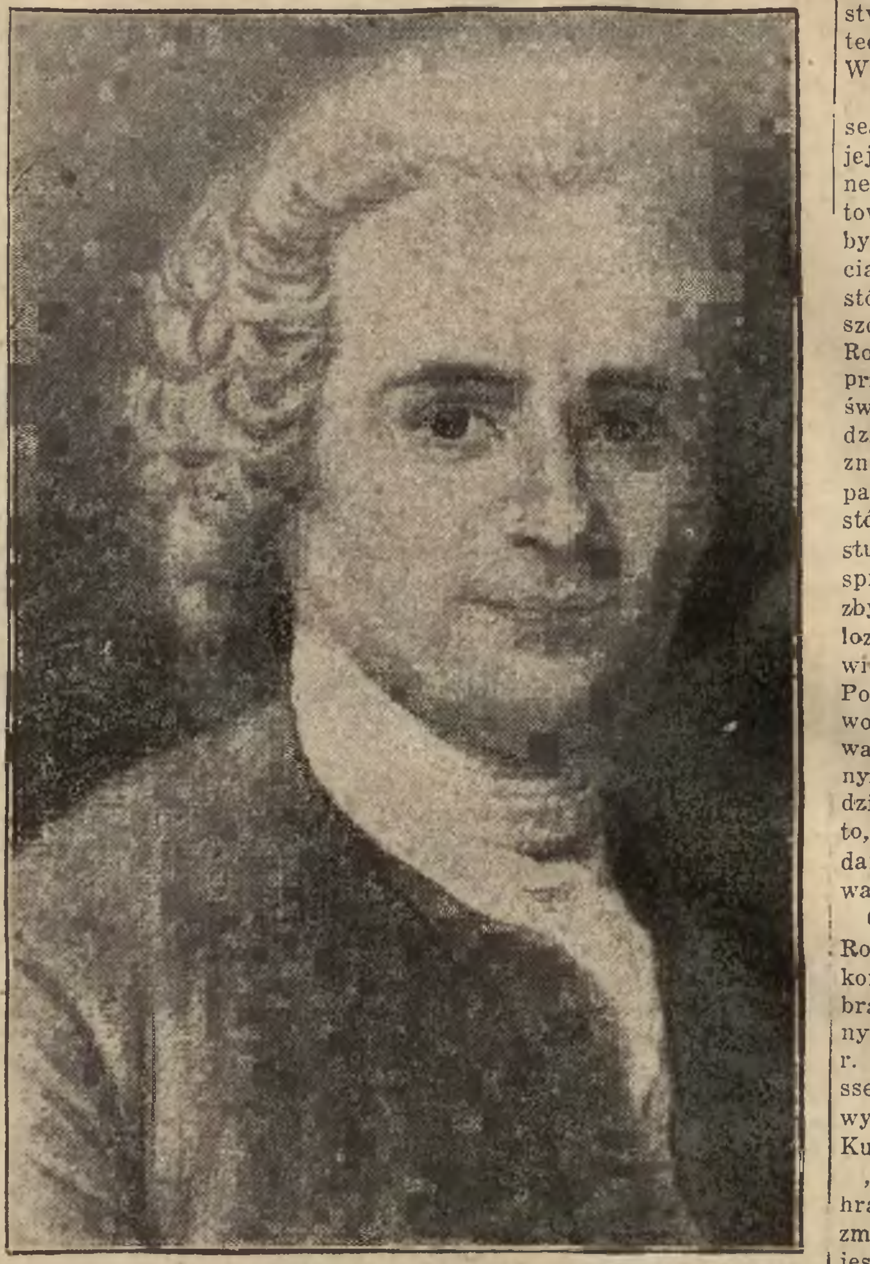
Księżna de Villeroy: — Wierzaj, hrabio, że przynajmniej my, kobiety, wszystko poświęciłybyśmy dla męża, który powrócił nam prawa wyrodzonej ludzkości i przypomniał matkom ich obowiązki. Rada Rousseau, by matki same karmiły swoje dzieci, stosowaną już jest w najwyższych sferach, i poparta zachwycającą wymową naszego mędrca, stała się dobrodziejstwem dla całego człowieczeństwa.

Wielhorski: — Z czegóż utrzymuje się ten mąż wielki?

Mme de Vermont: — Dzieła mało dają mu dochodu. Zawsze biedny, lubo księgarze na pismach jego porobili majątki. Zawsze główne dochody czerpie z przepisywania nut muzycznych, co bardzo zręcznie dokonywa.

Najmelodyjniejsza nuta płynąca poszumów parku, „z zielonego ryważu jasnego strumyka“, ściemniała w jakimś fałszywym tonie. Comte Wielhorski, w zapomnieniu, jakby chciał targnąć wąsa... zgolonego.

— Dla Boga! Co słyszę? Tak znakomity autor, będący sławą całej Europy, poświęcając czas mozołom mechanicznym, pozbawia myślącą ludzkość owoców swojej wyobraźni i uczucia!



JAN JAKÓB ROUSSEAU.
według portretu de la Tour'a (Muzeum Carnavalet w Paryżu)

Panna de Traversier, dotąd milcząca, a jednak ciągle zapatrzona w polskiego magnata (który później miał ją powieść do ołtarza) przerwała chwilę smutnego milczenia:

— Mam kilka menuetów przepisanych jego ręką, i chowam je, jak relikwję.

Wielhorski (z uniesieniem):

— Pani! Będąc zaszczytem płci swojej, wynagradzasz jej imieniem tę ofiarę wielkiego filozofa, którą on damom szlachetnym zapalił w „Nowej Heloizie“.

Zadźwięczały cytaty z utworów Rousseau, a Wielhorski, najgalantomniej komplementując pannę de Traversier, przysiągł zapoznać się z odludkiem - mędrcem.

Rousseau unikał towarzystwa; mieszkał na przedmieściu św. Gerwazego, a jeśli odnosił komu przepisane nuty, to, odebrawszy skromną zapłatę, znikał pośpiesznie, aby pracować na ustroniu. Wielhorski, po namyśle, wysłał list, prosząc filozofa o przepisanie nut jakiegoś gawota. Rousseau przyszedł; był bardzo małomówny i, nie dając się wciągnąć w rozmowę o naukach, całą uwagę zwrócił na nuty, dane do przekopiowania; pracę tę wykonał w ciągu tygodnia i byłby odszedł milcząco, gdyby wielhorski nie wręczył mu stu luidorów, zamiast przyrzeczonej sumy.

— Nie przyjmuję darów niezasłużonych — wymawiał się filozof.

Dyskusja dłużyła się, przeszła na różne tematy i stała się zawiązkiem długich rozmów, a potem korespondencji, której fragment, w tekście francuskim, kiedyś podał prof. Askenazy, nie podając jednak miana instytucji, przechowującej te rękopisy: stwierdzamy, że są one w Bibljotece Ordynacji hr. Krasińskich w Warszawie.

Wielhorski przedstawił Rousseau do oceny rękopis swojej pracy „O przywróceniu dawnego rządu...“ Rousseau akceptował te poglądy, które można było obalić wspomnieniem chociażby wielkiej epoki królów Piastów, tradycją ustroju, dawniejszego niż „Złota wolność“. Sam Rousseau w swoich „Djalogach“ przyznaje, że całe półrocze poświęcił na pisanie „Uwag o rządzie polskim“. Ten obcy rzeczoznawca - filozof, tak daleki od panów rzeczoznawców - finansistów, powoływanych w naszem stuleciu do wypowiadania się w sprawach polskich, równie był zbyteczny. Wybiegi retoryczne filozofa genewskiego są niezwykłe: widząc łączność swoją duchową z Polską ze względu na umiłowanie wolności, tłumaczy jednak: „Obywatel nie może być doskonale wolnym, jeżeli niewolnik nie będzie zupełnie niewolnikiem... Cóż to, mam z chłopa zdejmować kajdany, aby je na siebie wdziewać?“

O, to już rozumiemy, dlaczego Rousseau tak się zaprzyjaźnił z konserwatystą Wielhorskim: bratnie dusze. W liście datowanym z Paryża 20 kwietnia 1774 r. (lat temu niespełna 160) Rousseau objawia swą dążność do wyłącznego wpływu na imcipana Kuchmistrza W. K. Lit.:

„Od dłuższego czasu, panie hrabio, spostrzegam w panu taką zmianę w stosunku do mnie... jestem zmuszony podejrzewać w tem jakąś tajemnicę, którą pan musi mnie wyjaśnić. Kiedy mnie pan szukał z takiem zapałem, ja nie zwracałem uwagi na pana stosunki z ludźmi, którzy nie ukrywają swojej nienawiści do mnie... Tymczasem odtąd widzę w pana postępowaniu taką zmianę, że, nie będąc conajmniej ślepym lub nieczułym, nie mogę tego nie zauważyć lub nie być tem przygnębionym. Ja widzę pana uwięzionego przez moich nieprzyjaciół, ja nie znam ich dzieł...“.

Oczywiście, że Wielhorski zapewniał podejrzliwego filozofa, u którego przejawiała się już manja prześladowcza, że ma dla niego największą przyjaźń; stwierdza to i bilecik pisany przezeń do autora „Nowej Heloizy“:

„Ne voulant rien devoir à M. Rousseau que son éstime et son amitié...“.

Filozof z przedmieścia św. Gerwazego uważał swoje rozważania polityczne z Wielhorskim za tajemnicę wielkiej wagi, a nie chciał również, aby szerzej znaną była jego zależność materjalna od polskiego szlachcica:

„Ponieważ chcę panu, hrabio, oddać ten list jedynie do rąk własnych, ja go zamierzam schować i trzymać w mej kieszeni, aby szukać sposobności, która może wkrótce nadejdzie“.

Jeszcze w lipcu 1774 r., datując z Paryża, Rousseau pisze o sposobach wzajemnego przesyłania sobie listów, i wspomina:

„Pan otrzyma ten list otwarty, ponieważ przed wysłaniem go panu, ja uważałem za konieczne zrobić jego kopję“.

Jednakże kopje listów, a nawet prac politycznych obu przyjaciół powodowały czasem nieporozumienia. Rousseau skarży się w liście do Wielhorskiego:

„Księgarz Guy przyszedł do mnie wczoraj, zapytując, czy jest prawdą, że jestem autorem pisma o Rządzie Polski, znajdującego się w rękach p. d'Alambert, którego autorstwo jest mnie przypisywane i proponuje wydać...“.

Obejrzawszy rękopis Rousseau przekonał się, że była to kopja pracy Wielhorskiego, którą d'Alembert bez porozumienia z autorem dał księgarzowi. Wywołało to przykrą dla francuskiego encyklopedysty korespondencję z naszym Kuchmistrzem, W. X. Lit., która jest zachowana również w zbiorach Bibljoteki Krasińskich.

Gdy dzieła niechętnych sobie, ale jednocześnie pracujących nad podważaniem autorytetów, Woltera i Russa, wydawały plon w Wielkiej Rewolucji, twórcy reformy rządu polskiego, dokonanej ustawą 3-cio majową, nie szukali rady wśród obcych, sami dając wzór postępowej konstytucji.



MICHAŁ HR. WIELHORSKI
konfederat barski, kuchmistrz W. X. Lit. (według ówczesnego miedziorytu).

Michał Wielhorski zmarł w r. 1790, zdążywszy jeszcze w owym roku ułożyć z Rzewuskim manifest „przeciwko wszelkim Proiektom starodawną Wolność naszą obalającym, a mianowicie takim, które Rzeczpospolitą w Monarchią przeistaczać... usiłują“.

Bieg wydarzeń był przeciwny dążeniom Rousseau i polskiego statysty, Wielhorskiego; w przewrotach, które nastąpiły, budowniczym ładu okazał się ten, którego imię wspomniane na początku niniejszych wspomnień: Napoleon.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

CZARNECKI J. S.: **Krzyż przeciw sercu czyli apostołka wiary.** Opowieść historyczna osnuta na dziejach królowej Jadwigi. 8° str. 176. Warszawa, 1933. Kronika Rodzinna. Zł. 1.50.

DĄBROWSKI JERZY major: **Bój odwrotowy nad Niemnem i Rosią. I. Dywizji Litewsko - Białoruskiej od 21—25 lipca 1920.** 8° str. 361. Warszawa, 1933. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 12.

GEMBARZEWSKI L.: **Monarchja narodowa jako hasło XX wieku.** 8° str. 40. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

GŁĘBOCKA T.: **Artystyczne pikowanie** z 27 rys. 8° str. 23. Warszawa, 1934. Bluszcz. Zł. 1.50.

GUNDULIC J.: **Osman.** Poemat historyczny o wojnie chocimskiej z r. 1621 w XX pieśniach. Przełożył Cz. Jastrzębiec-Kozłowski. 8° str. 473. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 12.

JANISZEWSKI T. dr. prof.: **Polska idea państwowa a polityka populacyjna.** 8° str. 49. Warszawa, 1934. Bibljoteka Polska. Zł. 2.

KATAJEW W.: **Naprzód, czasie!** Przełożył dr. J. P. Zajączkowski. 8° str. 296. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

KORWIN L.: **Ormiasńkie rady szlacheckie.** 10 tablic barwnych. 8° str. 188, plus V. Kraków, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 9.

LEWANDOWSKI L.: **Czas pracy i urlopy.** Teksty jednolite obowiązujące od 1. I. 1934. Umowy o pracę, sądy pracy. 8° str. 68. Łódź, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.

LOCKE W. J.: **Chwalcy bałwanów.** Powieść. Przełożyła L. Ciechanowiecka. 8° str. 265. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

MOCHNIEWICZ S.: **Estetyka życia codziennego zarysy estetyczne i zagadnienia sztuki współczesnej** z 119 rys. 8° str. 398. Lwów, 1934. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. Zł. 14.

MARCZYŃSKI ANTONI: **Zegar śmierci.** Powieść. 8° str. 244. Kraków, 1934. Skl. gł. Gebethner i Wolff. Zł. 3.

MESTWIN-MUSIAŁEK J.: **Słowianie.** O zjednoczenie narodowe i państwowe Słowiańszczyzny na podstawie wspólnego słowiańskiego języka literackiego, cz. II. 8° str. 221 i 12 tabl. Poznań, 1933. Gebethner i Wolff. Zł. 4.

NEYMAN J.: **Statystyka ubezpieczalni chorobowych w Anglji, Niemczech i w oPlsce.** 8°. Str. 116. Warszawa, 1934. D. K. P. Zł. 3.50.

NOWAK St. dr.: **Z moich wspomnień** Lata szkolne 1884 — 1902. 8°. Str. 149. Częstochowa, 1933. Dom Książki Polskiej Zł. 2.

PARANDOWSKI J.: **Dysk Olimpijski.** Wyd. 2-gie. 8°. Str. 293. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 5.

PASŁAWSKI STAN. ks.: **Talizman Danusi** z ilustr. 8°. Str. 398. Warszawa, 1934. Kronika Rodzinna. Kart. Zł. 5.

PŁONKA - FISZER STANISŁAW: **Groźba.** Powieść. 8°. Str. 168. Poznań, 1934. A. Cybulski. Zł. 4.

POGONOWSKI J. dr.: **Bohater Radzymina** (kapitan Stefan Pogonowski). 8°. Str. 55. Warszawa, 1934. Kronika Rodzinna. Zł. 1.

REED J.: **Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem.** Przeł. A. Dobrot. 8°. Str. 478. Warszawa, 1934. J. Przeworski. Zł. 8.

ROHMER SAX: **Zielone oczy.** Przeł. dr. J. P. Zajączkowski. 8°. Str. 285. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

SIEROSZEWSKI W.: **Marszałek Józef Piłsudski.** Życiorys z 4 rys. 8°. Str. 64. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.80.

SINGER L. J.: **Josie Kalb.** 8°. Str. 312. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

SKAŁKOWSKI A. M.: **Rodowód Józefa Sułkowskiego i jego listy młodociane** z 3 portr. 8°. Str. 58. Poznań, 1934. J. Jachowski. Zł. 3.50.

SZOŁOCHOW M.: **Zorany ugór.** cz. II z rosyjsk. przeł. H. Pilichowska. 8°. Str. 288. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.